

Tomasz  
Łubieński

## Przetańcowane noce

**P**odobno radość daje się organizować. A jednak radość największa wynika z niespodzianki, sytuacji wyjątkowej, darowanej przez uśmiechnięty los. Na przykład dla mnie, człowieka umysłowego, którego naturalnym otoczeniem jest biurko wieloszufladowe, punktowa lampa, ściany obwieszane książkami, czasem, niechętnie zresztą, zadymiona kawiarnia, co może być skutecznym źródłem radości?

Otóż w związku z panującą wokół modą na kokieterijne konfidencje chciałem się zwierzyć, że moim prywatnym, pewnym sposobem na radość, był jest i będzie – oby jak najdłużej – taniec. Dla człowieka młodego taniec może zdawać się czymś naturalnym. Po pięćdziesiątce, przy niezmiennie średnim wzroście, wobec łysiny, której nie zamaskuje żadna czapka, i okularów, które, jeśli nawet odrzucone w bok niecierpliwym gestem, psychicznie pozostają jednak na nosie – taniec staje się luksusowym wyzwaniem. Ale ja przetańczyłem już bardzo wiele. Prawie czterdzieści lat temu (brakowało kilku miesięcy do Października) wyproszono mnie z Domu Zdrojowego w Jastarni za *rock-and-rolla*. W latach studenckich włóczyłem się po podmiejskich zabawach. Kilkakrotnie nawet wygrałem konkursową czekoladę. W centralnych klubach, pod nieobecność pierwszych tancerzy stolicy, takich jak Heniek Meloman czy Gieniek Frajer, bywałem tolerowany jako rezerwowi przez ich partnerki. To wszystko procentowało wkrótce potem w dalekim Leningradzie. Na zasadach bezdewizowych uczyłem tam ekscentrycznych figur zachodnich w zamian za krótki kurs tradycyjnych rosyjskich przytupów. W Paryżu natomiast tuliłem się do pięknej Kreolki z Martyniki w diademie ze sztucznych pereł i nie byłem w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Nadeszły lata wrocławskich międzynarodowych festiwali teatralnych. W narkotycznych, głównie dzięki gościom z Holandii, oparach wpadałem w tańeczny trans z japońską aktorką imieniem Yoko Ran. Z kolei w latach intensywnego narciarstwa narażałem się na komplementy, że lepiej tańczę, niż zjeżdżam. I tak mijały lata, smętne i emocjonujące, ważne i niepoważne.

Ale ostatni rok był pod tym względem szczególnie bogaty. Najpierw wczesną wiosną prześpiewana i przetańcowana noc w Teatrze Wiejskim Węgajty pod Olsztynem. Muzyka cygańska, żydowska, polsko-chłopska. A w parę miesięcy później na frankofońskim festiwalu w Limoges to samo, ale zupełnie inaczej. Bębny, bębenki, kołatki, wszystkie połączone zespoły festiwalowe na parkiecie, a ja wśród nich szczęśliwy, ostrożnie stawiający stopy, wystrzegający się wszelkiej ryzykownej ekspresji, nieskoordynowanych podskoków. Lata doświadczeń! Spokojnie, spokojnie, żadnego wypinania się, machania rękami i nogami, tylko miękkie dreszcze przez całe ciało. A kiedy na parkiecie zostają już sami Murzyni – usiąść swobodnie, włożyć okulary, oddychać z radością. ■